**Ekranizacja głośnej książki "W ukryciu" w kinach od 13 czerwca. Rozmowa z reżyserem Lionelem Baierem**

**Komediodramat "W ukryciu" to barwna opowieść o nieszablonowej, artystycznej rodzinie, trafi do kin 13 czerwca. Ekranizacja powieści Christophe'a Boltanskiego, w której swoją ostatnią rolę zagrał Michel Blanc, zabiera widzów do Paryża, podczas przełomowych wydarzeń z 1968 roku. Z okazji premiery filmu rozmawiamy z reżyserem filmu Lionelem Baierem m.in. o jego rodzinnej historii związanej z Polską.**

[**ZWIASTUN**](https://youtu.be/cKWWnrxhAVA)

**Powieść Christophe'a Boltanskiego, "W ukryciu" opowiada historię jego rodziny i obejmuje ponad sto lat. Dlaczego wybrałeś maj 1968 roku jako punkt wyjścia dla swojego filmu?**

Lionel Baier: To prawda. Zwłaszcza, że ten okres zajmuje w książce niewiele miejsca. Jeśli się nie mylę, Boltanski po prostu wspomina, że jego wujek Christian, miał pecha, że jego pierwsza wystawa malarska została otwarta 3 maja 1968 roku. Nie trzeba dodawać, że mało kto przyszedł zobaczyć jego prace! To był wyjątkowy czas. Zaledwie 23 lata po II wojnie światowej, wraz ze wszystkimi strajkami i niedoborami, które potem nastąpiły, powróciła zbiorowa nieświadomość Francji, zarówno po lewej, jak i po prawej stronie. Niezależnie od tego, czy było to pragnienie zmian społecznych czy też konserwatyzm, wszystko to stało się widoczne zarówno na ulicach, jak i w wypowiedziach. Umożliwiło to zgłębienie wielu tematów, które poruszyły mnie w powieści, takich jak dziedzictwo, potrzeba fikcji w kształtowaniu własnej tożsamości, antysemityzm, rzeczy niedopowiedziane...Jest to fascynująca epoka do filmowania, ponieważ jest ona podstawą naszego obecnego okresu. Na dobre i na złe.

**Co rozumiesz przez „potrzebę fikcji w kształtowaniu własnej tożsamości”?**

Podobnie jak rodzina Christophe'a Boltanskiego moja również pochodzi z Odessy. Mój pradziadek poznał tam moją prababcię. On był Polakiem, ona Szwajcarką i pracowała jako opiekunka do dzieci. Reszta to zwyczajna historia imigracyjna. Kiedy kręciłem film "Na wschód" w 2005 roku w Polsce, próbowałem dowiedzieć się więcej o mojej rodzinie. Ale ponieważ archiwa są niekompletne, duża część ich życia jest nieudokumentowana. Odkryłem jednak, jak moi przodkowie dostosowywali swoją „prawdę”, aby zintegrować się w Szwajcarii. Dokumenty, sprzeczne informacje, geograficzne przybliżenia. Zdecydowałem więc, że wezmę z tej genealogii to, co było dla mnie przydatne. Christophe Boltanski robi to samo w swojej książce. Opowiada historię swojej rodziny, ale niekoniecznie mówi całą prawdę. Zrobiłem to samo w filmie, wplatając w niego elementy mojej własnej historii.

**Ale kryjówka i groźba deportacji nie są fikcyjne...**

Oczywiście, że nie! To był jeden z głównych powodów, dla których chciałem podjąć się trudnego wyzwania adaptacji tego tekstu. W filmach Holokaust jest często przedstawiany jako wydarzenie historyczne zamrożone w czasie. Ale dla mnie jest to ciągły proces. Powieść przekazuje to bardzo umiejętnie. Wszystko w codziennym życiu Boltanskich wydaje się być powiązane z czymś niewypowiedzianym i to chciałem pokazać. Zawsze chciałem nakręcić film o tym okresie historycznym, ale nigdy nie chciałem filmować wprost wojny. W powieści bohaterowie zawsze odnoszą się do „przed” i „po”, gdy mówią o wojnie. Wszyscy ci ludzie mówią o wszystkim z wyjątkiem Holokaustu. To milczenie jest historyczną rzeczywistością. To tak, jakby mówienie oznaczało powrót do horroru. Byłem pod wielkim wrażeniem tego w książce.

**Dlaczego zdecydowałeś się opowiedzieć tę historię w formie komedii?**

Właśnie dlatego, że to wszystko jest takie poważne! Powieść Boltanskiego jest w gruncie rzeczy bardzo zabawna i czuła. To była jedyna rzecz, której przysięgałem być wierny, rozpoczynając adaptację. Christophe Boltanski całkowicie mi zaufał i dał pełną swobodę, za co zawsze będę mu wdzięczny. W zamian starałem się dorównać jego elegancji. Odwiedził plan kilka razy, a nawet przyprowadził swojego ojca. Czasami czułem się, jakbyśmy grali w jego domu.

**Opowiedz nam jeszcze o obsadzie filmu.**

Musieliśmy stworzyć rodzinę - jedno, zjednoczone ciało, zachowując jednocześnie wyjątkowość każdej osoby. Zaczęliśmy od dziadków. Od wielu lat podziwiam Dominique Reymond. Miałem okazję pracować z nią na scenie w *Foucault en Californie* w 2022 roku, gdzie grała filozofkę. To niezwykła aktorka, której nie widać jednak wystarczająco dużo w filmach. Babcia jest prawdziwym filarem tej rodziny: jest autorytetem, ale nie jest autorytarna. Aurélien Gabrielli przykuł moją uwagę w *Le monde après nous*. Uwielbiam jego umiejętność przekazywania emocji bez sentymentalizmu. Sprawia, że tęsknię za tym francuskim kinem, które z każdym filmem odkrywało na nowo zasady gry przed kamerą. William Lebghil miał najtrudniejsze kwestie do „przekazania”: prezentowanie de Gaulle'owi długich monologów na temat lingwistyki i teorii semiotycznych. Potrzebowaliśmy kogoś, kto mógłby je wypowiedzieć, mając jednocześnie błysk zwątpienia w oczach. William ma talent do robienia tego przed kamerą. Ma w sobie pewną swobodę, która sprawia, że powaga jest możliwa. Liliane Rovère wydawała się tak oczywistym wyborem do roli prababci, że nie odważyłem się zaproponować jej tej roli od razu. Kiedy się poznaliśmy, podzieliła się trudnym wspomnieniem z II wojny światowej. Liliane zachowała w sobie bunt przeciwko bezkarności potężnych. Jej przeszłość małej żydowskiej dziewczynki nadal wpływa na jej działania polityczne. Prowadzi kampanię przeciwko skrajnej prawicy, wciąż jest zbuntowana wzrostem nietolerancji i nadal demonstruje na ulicach Paryża. Powiedziała mi: "Mam szczęście, bo historia jest jak wahadło. Urodziłam się, gdy było naprawdę źle, ale większość życia spędziłam, gdy było lepiej. Teraz, gdy wahadło znów wychyla się w stronę horroru, współczuję ci". Wszystko w jej obecności jest podsumowane w tym wspomnieniu - jej wielkość, dowcip, poczucie historii i jej odmowa obciążania nią innych. Nigdy nie widziałem aktorki tak zdeterminowanej, by nie pozować, nie udawać, nawet gdy wszystko wokół niej było absurdalne. Szuka prawdy wszędzie i nie chce powtarzać niczego, co już zrobiła. Jestem niesamowicie dumny, że zgodziła się być częścią mojego filmu. Z kolei Ethan Chimienti, mały chłopiec, zagrał w filmie po raz pierwszy. Na planie był zajęty pisaniem własnego scenariusza do filmu i obsadzaniem aktorów oraz członków ekipy. Zaproponował mi rolę delfina podążającego za statkiem pirackim. Presja była ogromna!

**No i jest jeszcze Michel Blanc, w swojej ostatniej roli.**

Tak wiele można o nim powiedzieć. Wszyscy wiedzą i sami mogli się przekonać, że Michel był niezwykłym aktorem. Na początku trochę mnie testował. Chciał wiedzieć, jak planuję kadrować scenę, co zamierzam zachować w ostatecznej wersji. Ale bardzo szybko zaczęliśmy rozmawiać o muzyce i naszym wspólnym zamiłowaniu do precyzji wykonania. „Rozumieliśmy się”, jak powiedziałby de Gaulle! Nauczyłem się od niego tak wiele - o sposobie wypowiadania słów (był niesamowitym autorem dialogów), o kiełbaskach andouillette (był prawdziwym smakoszem!), ale także o oczekiwaniach publiczności: jak je zaspokoić, jednocześnie trzymając widzów w napięciu. Każdego ranka pojawiał się na planie ze spojrzeniem, które zdawało się mówić: „Czy powinienem ci zaufać?”. I każdego wieczoru wychodził z uśmiechem, który traktowałem jako ciche potwierdzenie tej milczącej umowy. Jeśli była jakaś osoba, której nie chciałem zawieść przy tym filmie, to był to właśnie on. Jestem zdruzgotany jego odejściem. Jednocześnie także głęboko wdzięczny za możliwość pracy razem z nim przy tym filmie w 2024 roku. Mawiał: „Jesteś kompletnie szalony, ale nie zachowujesz się, jakbyś stracił kontrolę”. Nawet po zakończeniu pracy dzwonił do mnie od czasu do czasu, by sprawdzić, jak idzie montaż. Zawsze był taki troskliwy. Ostatnie zdjęcie w filmie, które jest jednocześnie ostatnim w jego niesamowitej filmografii, doskonale go oddaje: gwiżdżący na długiej, otwartej drodze, idąc obok dziecka - on, który kiedyś marzył o byciu pianistą klasycznym, ale stał się, podobnie jak Chaplin, zarówno filmowcem, jak i aktorem.